Nro 13.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 14 czerwca 1845. **Rok szósty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301.; we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 31 czerwca 1845.

Stroje damskie. Ludności codzień ubywa w Paryżu, gdyż jedni do wód, drudzy rozjeżdżają się na wieś, dla korzystania z pięknej pogody jaką od dni kilku tu mamy i która zdaje się trwałą już być powinna; modystki zaś tutejsze zawsze dbałe o wygodę i ładne wyglądanie pań naszych, nieomieszkały przysposobić mnóstwo rozmaitych strojów które nietylko iż elegancią i dobrym gustem mogą zachwycić wszystkich, lecz są oraz wygodne, lekkie i proste, słowem: bardzo stosowne do pory roku i miejsca w którem mają być użyte.

Zaczniemy od kapeluszów z których jako najgodniejsze wspomnienia wymienimy; kapelusz z krepy *dahlia* z półwoalem koronkowym, dwoma bukietami z kwiatów do kapelusza przymocowanym. Kapotka z różowej karbowanej krepy, girlandą z liści ubrana.

Kapelusz z białej krepy, którego kania obszyta w koło trzema ukosami tiulowemi a który ma za ustrój gałązkę wierzby płaczącej i zielone atlasowe wstążki. Kapelusz z przezroczystej słómki, podszyty różową krepą ubrany piórem, ale najzwyklej do przyozdabiania kapeluszów słomkowych używają kwiatów z których najulubieńsze tego roku są: akacia, róże i inne kwiaty wiośniane, niemniej wziętość mają wielką gałązki laurowe, jaworowe i wierzby płaczącej; ptak rajski zawsze należy do modnego ubrania; w ogólności zaś co się tyczy kapeluszów uważać należy że kanie są znacznie rozszerzone, a główki troche w górę wzniesione.

Z sukień wymienimy: z gładkiej krepy, z stanikiem wyciętym, krótkiemi rękawami obszytemi blondyną; po obu stronach spodnicy garnirowanie z blondyny i wstążek w kształcie piramidy; dół spodnicy obszyty czterma rzędami szlarek w rurki układanych z tej samej co i suknia krepy. Suknia z białego muszlinu z stanikiem *à la vierge,* z rękawkami całkiem drobnemi szlarkami naszytemi; u spodnicy dwie szerokie falbany.

Podwłosienniki najczęściej robią się z batystu lub muszlinu; widzieliśmy także jeden bardzo ładny z fularu błękitnego, otwarty przez całą długość spodnicy z szerokiemi wkoło wyłogami haftowanemi pomarańczowym jedwabiem; przepaska z błękitnej wstążki; rękawy półdługie *à la religieuse*; drugie rękawy muszlinowe obszywane szlarkami w drobne rurki układanemi.

W szlafroczkach zaszła znaczna zmiana; gdyż stanik przy nich nie jest oddzielony od spodnicy, lecz bryty tak przednie jak i tylne wychodzą od ramion, a w pasie zwężają się, co je robi podobnemi do męskiej twiny; szlafroczek taki przepasuje się sznurem; w gorsie może być podług upodobania zamknięty lub otwarty; w ostatnim razie powinna być na gorsie szwajcarska fałdowana koszula w górze obszyta korunką; rękawy powinny być u takich szlafroczków szerokie, z wyłogami.

Stroje męskie. Coraz gęściej widzieć się dają stroje fantazyjne; każdy ubiera się według woli, według swego gustu, wygody swojej lub przewidzenia. Śród dziwactw dzisiejszych niewstydzilibyśmy się wcale gdybyśmy postrzegli kamizelki z mocno wystającemi połami jak już widzimy i teraz fraki ze stanem tak długim że w stosunku do niego poły mało co widać; a spodnie bywają tak szerokie że prawie nieznaczne są nogi. Te wszystkie jednak dziwactwa niewyłączają dobrego gustu któren umie wszystkie nowości tak umiarkować że przestają być rażące, owszem zgadzają się harmonijnie z budową ciała.

Fraki według najnowszego kroju mają kołnierz i klapy zaokrąglone a przodki zbiegają się prawie w jedną linię z połami. Patki dają się nieco ukośnie, poły zaś są szerokie.

Co do spodni opisaliśmy ich krój w numerach poprzedzających, dodamy tu tylko że tak twiny jak surduty na dwie strony zapinane, dosyć często widzieć się dają.

Rycina przedstawia: suknię z *poult de soie* na dole bufkami po boku w sposobie fartuszka korunkami i fontaziami ubrana, włosy kwiatami ubrane. Druga suknia z tarlatany z podwójną spodnicą u której stanik w przodzie otwarty do półkoszulka, kapotka z krepy liściami ubrana. Trzeci szlafroczek jedwabny ze stanikiem otwartym, kapotka jedwabna kwiatami ubrana. Tudzież frak do przechadzki i surdut z okrągłemi klapami.

Wspomnienie z podróży

PRZEZ

WINCENTEGO POLA.

Dokończenie.

— O jakże jest ubogą sztuka nasza!... zawołał mój towarzysz po chwili... jakiżto ubogi język, ten język malarski!... jakże mało środków mamy do oddania naszych myśli!... duszę dałbym zato, gdybym mógł zrobić taki obraz, bo czuję to, iż w niem utopiłbym cały mój smutek... ale, jakże go oddać?... Wszystko co się widzieć daje, zdaje się iż musi mieć jakiś kolor, boby inaczej niemogło być widzialnem?... Goethe napisał całą xięgę o kolorach, a i on pono, niebyłby mędrszym od nas w tej chwili.

»Proszę mi powiedzieć, co za koloryt ma ten obraz w naturze? a przecież jest tu światło i cień, a i wstęga kolorów tęczowych i promień słońca letniego, niesprawi czasem w obrazie tak wielkiego skutku, niezrobi takiego wrażenia jak mdły promyczek tej jednej kościelnej lampy... cały ten obraz wisi w powietrzu, w średniej niby dali, w tym obrazie niema ani przodu ani tła, ani stopniowania w kolorycie, ani perspektywy. Gdyby go kto rzucił na płótno w tym sposobie odesłanoby go do szkoły; bo ktoż widział kiedy kościół wiszący w powietrzu?... Obraz bez barwy i rysów? ale w szkole zmartwiłby się biedak jeszcze więcej... bo i tam nienauczyłby go nikt jak takie malować obrazy....«

Zamyślał się i dodał po chwili: każdy krawiec, zna krój sukni, która jest w modzie; ale tylko tajemnicza przepaska starożytnej bogini Cypru daje urok piękności. Usiedliśmy sobie ponad drogą na kamieniu i patrzyliśmy na kościół wiszący niby w powietrzu nad nami. Luat zniecierpliwiony, że nieidziem za nim, zaszczekał w niejakiem oddaleniu i powrócił do nas po chwili i ułożył się u nóg, a szczerząc się zdawał się wpatrywać w pewien jakiś punkt nieruchomy i warczał zcicha od czasu do czasu. To niedarmo... rzekł mój towarzysz, on czuje coś! jakoż ujrzeliśmy w ciemnej framudze wieżycy, która sterczała tuż nad nami, że się coś niby ruszało.... Niby bladem fosforycznem światłem, czy pruchnem, zajaśniał najprzód jeden punkt w ciemnościach, potem drugi... potem zagasły oba, i zaświeciły znów po chwili oba... ruszając się i świdrując niby w ciemnem tle framugi.... Co to takiego?... cicho! to oczy szatana... patrz jak zaświeciły nagle mocniej żółtem fałszywem światłem, jak się w tych szyderskich źrenicach toczy dokoła jad piekła okrągło!...

Luat się porwał zpod nóg i szczeknął gwałtownie, mój towarzysz klasnął w ręce, a z wrzaskiem zerwała się duża sowa z framugi i przeleciała nisko, tuż nad naszemi głowami i zwinęła się około nóg naszych, jakgdyby chciała uderzyć na psa....

— To jest prześliczne! to daje mi obraz! zawołał mój towarzysz... już go widzę, już go mam! teraz tylko pęzli!... koloryt jest w duszy! odgadłem go! sowiemi oczyma przyświeci mi szatan i dobędę farb!... ale zaraz, zaraz wracajmy do Drezna!...

Niedaleko za kościołem znaleźliśmy gospodę... butelka szampańskiego wina pokrzepiła siły... nieczuliśmy znużenia i snu niebyło. Mój rozogniony towarzysz puścił wodze swemu artystycznemu zachceniu i jeszcze tej samej nocy, niósł nas lekki kabriolet drogą ku Dreznowi.

V.

Parę tygodni było upłynęło od powrotu naszego do miasta, i od owej pamiętnej nocy. Po całych dniach siedział mój przyjaciel zamknięty w swym pokoju, i malował jakiś obraz. Często kiedym go odwidzał, niepuszczał mnie nawet do pokoju, a kiedy drzwi stały otworem, był obraz za zasłoną i prosił mnie, żebym niepatrzał na niego, dopóki niebędzie skończony. Często niebywał nawet na obiedzie, a gdym go w końcu odwidzać zaprzestał, niechcąc mu przeszkadzać, widywaliśmy się tylko wieczorem, chodząc zazwyczaj do poźna w noc po terasie brülowskim. Nigdy niemówił ze mną o swej pracy; uważałem to jednak, że w pierwszych tygodniach był jeszcze bardzo niecier-

pliwym i niespokojnym... lecz z każdym dniem czem więcej się zbliżał obraz do ukończenia swojego, wypogadzała się dusza jego coraz więcej, i nabierała coraz więcej spokoju i równowagi. Pewnego ranka odebrałem bilet w którym stały te słowa: Przybywaj! tylko zaraz... obraz jest gotów!

Kiedym wstąpił do jego salonu stał przed obrazem i oczy jego grały dziwnem jakiemś światłem. Poskoczył ku mnie z radością: Ha przyjacielu! rzekł: chodź, stań tu i patrz! teraz jestem lekkim, pozbyłem się mojego szatana! tum go uwięził, tu w oczach tej sowy! i tu będzie mi siedział wiecznie! teraz jestem swobodnym! pozbyłem się mojego szatana!...

Gdym spojrzał na obraz, czułem się nagle przeniesiony w ciemności owej majowej nocy, w Szwajcarię saską, gdzie nagle przed oczyma naszemi, na zawrocie drogi zawisł kościół w powietrzu, oświecony ze środka promykiem jednej mdłej lampy... tło obrazu było wybornie trafione, mistycznie, jak tajemnice owej nocy, sercem tylko odgadnięte, tylko oku artysty widzialne. Na tem tle widać było kawał wieży a wniej framugę starożytnego gotyckiego wykroju, w której siedziała sowa ogromna. Byłto prawdziwy obraz mistycznej nocy, bo cały był oświecony światłem, które wypływało z ócz sowy, światło to było mdłe, podobne do dymiącego fosforu potartego w ciemności; a jednak oświecało cały obraz wyraźnie i wpatrzywszy się weń, występowały wyraźnie wszystkie odcienia kolorytu i przedmiotów mniej widocznych na pierwszy rzut oka. Trzema ozdobnemi dębowemi liściami gotyckiej rzeźby, były zakończone śpiczaste łuki framugi i cechowały wiek budowy, a po rozpadlinach muru wspierała się jedną stroną arkady gałązka germańskiego bluszczu. Niebyło ani ziemi w tym obrazie, ani nieba nad niem, w powietrzu gdzieś wysoko jak się zdało, sterczał kawał muru; głównym przedmiotem obrazu była sowa, wśród tej framugi, a właściwie, jej oczy. Żółte, to znowu niby bielejące światło, które z tych ócz wypływało, nadawało temu obrazowi jakiś wyraz okropnego, demonicznego życia. Wielka źrenica w oczach sowy, zdawała się nabierać ruchu. Krystalicznie żyłkami podzielona z ogniska na promienie rzucała coraz inne światło, z nowego widziana punktu. Chłodny, trzeźwy rozum wypatrywał z tych ócz; a jednak miały one w sobie coś tak sardonicznego i niepokojącego, tyle ironii, tyle dumy i złości nieludzkiej, że tylko na chwilę trzeba się było spotkać z tym wzrokiem, ażeby zostać niemiło dotkniętym na długo, i utracić na długo skokojność i pogodę duszy. Wzrok ten przenikał na wskróś, a zimna źrenica niemiała dna, byłto niby tylko otwór, przez który, można było spojrzeć, w jakąś otchłań przedwieczną niezbadanej okropności; przepaść ta, jak przepaść wśród gór, ciągnęła do siebie, i rozum tracił tu równowagę, jak tam traci równowagę ciało.... Krystaliczność promieni w których się rozstrzelało ognisko źrenicy, sprawiało, że oczzy sowy zarzucały niby zyzem, czasami z pewnego punktu widziane, i w tych promieniach grała najżywiej fałszywa żółtość ironicznego światła; w miarę tego, jak się z różnych punktów widziana mienić zdawała źrenica wytrzeszczonych ślepi, mieniły się także i rysy tej potwornej głowy, bo raz były podobne do sowy, to znów do łba kociego, a w końcu zdawały się podrzeźniać nawet rysom ludzkiej twarzy, szczególniej ów kozubowaty zakrzywiony dziób, przybierał kształt orlego niby nosa i wyraz szatańskiej genialności.

Tak przerzucał widok tego obrazu umysł w coraz inną istotę: i złość zwierzęcia, niepokój demona, szyderstwo piekła a w końcu potęga jeniuszu i duma upadłych aniołów, jaśniały z tych oczu jedno drugiemu obce, a jednak razem za tło służyła noc bez ziemi i niebo bez gwiazd, otchłań ciemności bez dna....

A co? zapytał mnie mój przyjaciel po chwili, którą jeszcze teraz po leciech wielu niejest wspomnieć miło; a co czyś mnie zrozumiał?... co to jest?...

— Szatan! rzekłem.

— Zgadłeś! zawołał z radością... i teraz dopiero czuję... dodał, że będę religijnym malarzem, bom już był w odchłani ciemnych duchów, teraz jestem czystym i lekkim znowu jak po modlitwie. Pozbyłem się mojego szatana! przykułem go do ócz tej sowy i tu będzie mi siedział wiecznie! na pierwszy promień, który z nieba spadnie, pierzchną ciemności tej nocy i zgaśnie szatańskie światło tych oczu, które tylko śród odchłani świecą, bez ludzi, bez boga, ni bogu ni ludziom....

Tu mógłbym urwać, bo we dwa dni poźniej rozstałem się z moim fantastycznym przyjacielem na długo, może na zawsze! Jak sen niezwykły otarła się jego postać o moją duszę... i o drogę mego życia. Pożegnanie się nasze było krótkie; ale pamiętne dla mnie na zawsze: byłato jedna z tych chwil, którą niewolno jest mierzyć skalą czasu, w której się uczucia tak skupiają, że już wspomnieniem jednej takiej chwili w życiu bogaci się serce na zawsze... Ów fantastyczny pełen natchnienia młodzieniec któregom poznał owego wieczora na brülowskim terasie, byłto Alfred Knorr, artysta, malarz głośnej dziś sławy w całej Europie. Od wielu lat dowiaduję się o jego losie i powodzeniu artystycznem tylko z pism publicznych, najwięcej jednak zajmującym był dla mnie opis tej

wystawy obrazów, na której po raz pierwszy ujrzano obraz jego sowy, w Berlinie i w Mnichowie.

Byłoto w parę lat po rozstaniu mem z Knorrem, burza jesiennej nocy zaszumiała nad naszemi lasami, w zacisznym polskim dworze górskiej wioski palił się ogień na kominku, a kiedy do pokoju wniesiono świecę, wstąpił posłaniec z pocztową torbą na piersiach. W ustroniu wiejskiem jest widok listów, gazet i pism czasowych niby uśmiechem cywilizowanego świata, który nam przesyła Europa chcąc uweselić i pocieszyć ustronie zapomnianych samotników.

Z westchnieniem wziąłem za pisma estetycznej treści i czytam: »Wystawa obrazów, albo raczej: sowa Knorra« Knorr! sowa Knorra! pomyślałem, jak czarodziejską rószczką czułem się przeniesiony w tajemnice owej nocy Szwajcarii saskiej, i Knorr stanął przed oczyma memi i te ostatnie słowa jego brzmiały mi znów w duszy, jak odgłos odległego echa, gdym ujrzał po raz pierwszy obraz jego sowy... Ile zajmującym był dla mnie ten artykuł łatwo sobie wyobrazić można, gdyż znając Knorra, byłem pewnym, że dwoch sów niemalował w życiu, i że to mowa o tej samej sowie, którą wypłoszył Luat z framugi śród ciemności owej nocy, w której Knorr uwięził swojego szatana. Wziąłem tedy pismo i czytam.

»Jaki wpływ wywiera na postęp sztuk pięknych tegoczesna filozofia, najlepszym dowodem tego jest sowa Knorra... a lubośmy sobie zamierzyli mówić tu o wystawie obrazów... będziemy tylko mówili o obrazie sowy Knora, gdyż należy on do tych artystycznych płodów, które stanowią epokę w dzisiejszej historii sztuk pięknych. Obraz przedstawia sowę siedzącą w głębi framugi gotyckiej na urwisku muru starej wieżycy. Sowa jest ptakiem Minerwy, a w obrazie który opisujemy daje nam artysta symbol narodowej mądrości, symbol filozofii niemieckiej. Jak w genialnym obrazie nocy Corregia jest cały obraz oświecony jasnością, która z dziecięcia wypływa, tak i tu jest cały obraz oświecony światłem, które wśród ciemności padołu ludzkiego, wypływa z ócz sowy. Tu leży właśnie najgłębszy pomysł artysty, jestto obraz naszej filozofii, która obróciwszy oko na wnętrze ducha wystarcza sama sobie, i nie świeci obcym pożyczanem światłem nieba lub ziemi; lecz wydobywa z treści własnej istoty promień przedwiecznej jasności, która w nieskończoność upływa. Jak sama myśl artysty jest wielką tak i wykonanie i użycie środków i wyposażenie obrazu jest godne wielkiego artysty. Sowa siedzi w głębi gotyckiej framugi, a jedną część tej arkady wyplata bluszcz, którym wieńczono naszych bardów starej Germanii. Wiadomo jest powszechnie że jak gotycka budowa powstała z tej głuchej idei, którą Germanowie wynieśli z uroczej ciszy pogańskich gajów; tak pojawiła się na tle religijnej gotyckiej budowy filozofia scholastyczna, filozofia średnich wieków, która dała początek i wzrost następnym systematom filozoficznym, aż do dni naszych. Oczy sowy reprezentują genialnie dualizm filozoficznych systematów, ktore się zniosły nawzajem, a te trzy liście dębowej gotyckiej rzeźby, które wieńczą i zakończają framugę gotycką nad głową sowy: to trójca heglowska! a ta framuga, to świątynia germańska, w której osiadł ptak greckiej Minerwy dziś śród oświeconej Europy, jak niegdyś zasiadał wśród pogańskiego Olimpu u stóp tej bogini, która już dorosłą i uzbrojoną wyskoczyła z głowy Jowisza władnącego Olimpem i ziemią!...

Takie obrazy jak genialny obraz sowy Knorra mogą się rodzić tylko na tle niewcielonych ideii, na tle tegoczesnej filozofii.«

Tyle było słów recenzii... ze smutkiem odłożyłem ją na stronę w poczet tych tysiąca kłamstw, które się drukują na świecie... i niestety brać zwykły za dobrą monetę. Wyobrażam sobie jakie wrażenie musiała sprawić ta recenzia na umyśle artysty, który w tym samym obrazie uwięził swojego szatana, w którym estetyk uczony, ujrzał obraz filozofii tegoczesnej. Wówczas obraziła mnie ta recenzia; dziś zdaje mi się że obydwa mieli słuszność za twierdzeniem swojem obstawać, i może jest naturalną rzeczą że to jest dla artysty szatanem, co dla recenzenta jest filozofią. Knorr pozbył się swojego szatana i został wielkim artystą i jest zapewne po dziś dzień tego przekonania: że żaden estetyk nie wnijdzie do królestwa niebieskiego.

S W A T Y.

POWIASTKA.

— Anastazio! Anastazio! taki ty zobacz.

— Ktoś tam wszedł do pokoju (odzywa się głos)

— To tego ten pan; odpowiada wychylając swą głowę kucharka.

— Taki się dowiedz... jaki to pan?

— To tego, ten pan z prowincii....

— Czy zastałem panią sekretarzowę... zapytuje się przybyły pan z prowincii.

— Kiedy to tego, niewiem, co pani każe powiedzieć. Odpowiada kucharka, i cofa się do drugiego pokoju.

Pytający się pan z prowincii, niebył kto inny tylko pan Kolanowicz, najbogatszy mieszkaniec jednego z najuboższych miasteczek kraju naszego.

Na szyldzie jego handlu, który zwał się korzenny, widziałeś w pięknem malowidle miasto i morze; na drugiej tarczy podlatywał z swemi skrzydełkami u pięt bożek *Merkuriusz*, na piersiach trzymający arkusz białego papieru, na którym był napis prawdziwa bryndza; pod tą bryndzą wisiał milion złotych ryńskich w. w., z tym dopiskiem że bilet na tę korzystną loterię kosztuje *nur 5 fl.* w monecie. W tym handlu korzennym pana Kolanowicza mogłeś stać się właścicielem rozynków i tarcic, łańcuszków na krowy i do zegarków; ta sama ręka odważyła tobie funt holenderskiego, w Szląsku robionego sera, i funt mydła; równie chętnie podano ci żelazo albo cukier. Pan Krzysztof, prawa ręka pryncypała pełnił tu rolę subjekta, i zdawał się być stworzonym do swojej roli. Zawsze czynny, chętny i prędki, usłużnym bywał nawet pamięcią swoją, która umiała przypomnieć wchodzącemu do sklepu jego domowe potrzeby; z słodkim uśmiechem na ustach umiał przedawać nawet ocet; najuprzejmiej, kiedy zażądano, podał i kajdanki; a jakibądź towar stawał się własnością kupieiela, w dodatku do towaru odbierał zaręczenie *gratis*, że jest gatunku, *von den Besten*. Pan Kolanowicz mając w panu Krzysztofie tak grzecznego subjekta, zdawał na niego wszystkie przyjemności korzennego handlu, sobie zostawił tylko prace obliczenia zebranych przez dzień banknotów i krajcarków, po zamknięciu kassy, to jest: szufladki sklepowej.

Pan Kolanowicz (opis jego osoby będzie tu na właściwem miejscu) był wzrostu małego, komplexii szczupłej, oczy miał szafirowe, a włos jasny, który szczoteczką zgarnięty zasłaniał połyskującą łysinkę; na twarzy drobnego zarysu nie bogate faworyty dwoma *esami* zakręcały się ku ustom, nad któremi mszył się subtelny wąsik.

Z resztą cała jego postać od bucika, który do samego wieczora świecił się jak źwierciadło, aż do białej chusteczki na szyi na węzełek związanej, przedstawiała człowieka, który o swoią tualetę miał przyzwoite staranie, i trzymał się sumiennie mody jaką zastał przed laty dziesięciu.

Ta staranność tualety był to hołd wymierzony dla płci pięknej, dla której był z wielkiem uszanowaniem, dla której rysował wzorki, spisywał krakowiaki, wyrabiał pierścionki z włosienia z literkami, którą nareście obdzielał ***Inkasami, Wieśniaczką uszczęśliwioną, Gonzalwem z Korduby*** i tym podobnemi xiążkami; xiążki te nie widząc już dla siebie miejsca na wielkim piśmiennictwa świecie, schroniły się do małych miasteczek, do tych domów gdzie jeszcze rezeda i goździk stanowią przyzwoitą okien ozdobę 1).

Pan Kolanowicz liczył już czterdziestówkę, a jeszcze na średnim palcu nie nosił obrączki; pomimo swatów pani poczmistrzowej na przekor zdaniu pani Ferlegrowej; szczęśliwa ta matka trzech piegowatych córek utrzymywała i dowodziła że kawaler mający fortunę do wyboru żony przystąpić powinien. O losie! twoja to była sprawa, że pan Kolanowicz, acz poźniej zapisał się na zdanie pani Ferlegrowej; z trzech jej córek, niestety, nieubyła jej żadna.

Pan Kolanowicz z końcem roku 1842 po obliczeniu swojego *habet und soll* zachorował... na pana. Nie zawadzi tu wspomnieć że pan Kolanowicz raz do roku około S. Michała odbywał swoję podróż do Lwowa. Przyjeżdżał do stolicy po odebranie procentu od sumki ulokowanej *primo loco* u pewnej wdowy, właścicielki kamienicy o dwoch piętrach i dwoch oknach. Przybywszy do stolicy pan Kolanowicz oddawał się zwykle wszystkim zabawom i przyjemnościom miasta. I zaraz nazajutrz po swoim zajeździe do ***Judki*** ubrany czysto w nowym fraku z złotemi guzikami, w chusteczce białej na szyi, rozpoczynał swoją przechadzkę po rynku. Nie naglony interesem powoli ją odbywał, zatrzymywał się co chwila, tu się przypatrzył perukom, tam flotrowersom i smyczkom oprawionym w ramki, szkłem nakrytym; tu przynęciła go cukiernia, tam xięgarnia. Pan Kolanowicz lubił karmelki i obrazki; w cukierni obaczył na spinającym się koniu króla Sobieskiego 2), w xięgarni Polkę 3) w kołpaku czworospiczastym, jakiego na żadnej polskiej głowie niewidział; do niej na rozpędzonym rumaku leciał *Mazeppa* bez czapki i bez sukien. Przypatrzywszy się nareszcie całej długiej galerii sztychów, (bo xiążek w tej xięgarni zapewne niebyło, bo ich na wystawie, tem godle sklepu, nie widziano).

Dalej następowały przeglądy tu czypków, tam cybuchów, tu kamizelek, tam pieczątek. Po obiedzie na którym uczęstował siebie scidłem wina mołdawskiego, wyspacerował się po wałach, wykąpał w malowanej wannie w jezuickim ogrodzie: wypiwszy nareście mleka szklankę w żelaznej wodzie; wrócił do stancii. Nazajutrz czekały go nowe przyjemności i rozkosze. Usłużny fiaker zawiózł go do ***Onderki*** na krómkę chleba z masłem; z tamtąd do ***Kisielki***; gdzie się napatrzył jak kaczki pływają po wodzie, z potem

1) Pożal się boże, miła rezeda i słodki goździk znikają teraz z okienek miejskich, ich miejsce zastępuje kaktus, to roślinne monstrum.

2) Domyślam się cukrowego Sobieskiego.

3) Zapewne sztychowaną w Paryżu.

czoła wydrapał się na piaskową górę, gdzie mu pokazano trawkę, którą piasek porasta.

Po wypoczynku nareście przyzwoitym, ubrawszy ręce w czarne rękawiczki, z laseczką najtańszą jaką znalazł u *Glixellego* dążył pan Kolanowicz, do pani sekretarzowej, po procent. Byłato sobota. Przebywszy schody ciemno i wązko spinające się na piętro, po długim szukaniu drzwi i dłuższem jeszcze macaniu klamki, wstąpił do przedpokoju, gdzie brakowało tylko gwiazd, a byłaby noc prawdziwa. Tu znalazł się znowu w położeniu tego człowieka któremu zadano zagadkę. Rozwiązał ją pan Kolanowicz szczęśliwie, znalazłszy drzwi do pokoju; że się znajdował w bawialnym salonie, poznał to wchodzący po piasku którym grubo posypana była podłoga *) a wreszcie i po kanapie, zwierciedle i familijnych portretach zawieszonych na ścianie, bawialnego pokoju tych *sine qua non*.

Po scenie na wstępie opisanej weszła do pokoju pani sekretarzowa; była w bluzie popielatej i kacabajce kanarkowego koloru, obłożonej futerkiem, które kolorem swoim przypomnieć mogło... jaszczurkę. Są panie, co zaprzyjaźniwszy się przed laty pietnastu z kacabajkami, do śmierci już je nieopuszczą.

Jej czepek zakrywał tylko pół głowy, podobnie jak rękawiczki z obciętemi palcami połowe ręki zasłaniały. Na nogach miała żółte pantofle. Cera jej pełnej twarzy była mocno, bardzo mocno śniada; dobrej tuszy w ciele, ramieniem swojem mogłaby obdarować Goliata, a byłby to dla Goliata stosowny prezent.

Wiadomość o wizycie tego pana z prowincii, który po swój procent rokrocznie ją nawiedzał, wywołała na jej czoło wyraz nieukontentowania.

Zagniewana, zadąsana weszła do pokoju, siadła na kanapie... i zażyła tabaki.

— Niech taki pan siada, rzekła.

Pan Kolanowicz wybiera sobie w rzędzie ostatnie krzesło.

Pani sekretarzowa: Pan taki dawno zjechał do naszego Lwowa?

Pan Kolanowicz (z uśmiechem). Wczoraj pani dobrodziejko, a dzisiaj... zaraz... pani dobrodziejko... pospieszyłem do pani dobrodziejki.

Pani sekretarzowa (wołając w głos) Anastazio!

Do kucharki wchodzącej: Ty taki niewidzisz że ten pan z prowincii nie przymknął drzwi za sobą.

Pan Kolanowicz ogląda się i postrzega drzwi nieprzymknięte; kucharka drzwi przymyka.

*) Jestto domowy obyczaj miasta, który ma swoją piaskową górę.

Pani sekretarzowa: to pan taki z prowincii, zjechał do naszego Lwowa? To pan taki może się już ożenił na prowincii?...

Pan Kolanowicz zabiera się do odpowiedzi; pani sekretarzowa patrząc na nos gościa, woła: Anastazio!

Do kucharki wchodzącej... Ty taki nie widzisz, że ten pan z prowincii przywiózł nam muchę do naszych pokojów, zawołaj że taki, kogo do pomocy.

Pan Kolanowicz poczuwa się do winy i spędza muchę z nosa.

Pani sekretarzowa: To pan taki dawno już nie był w naszym Lwowie, to pan taki dawno niewidział na Łyczakowie znowu dwie kamienice murują; ale taki to przecie nie nasza ulica; taki pan przyznaj że mam racię.

Pan Kolanowicz przyznaje pierwszeństwo naszej ulicy; pani sekretarzowa woła znowu Anastazii. Brudna kucharka wchodzi znowu; pani sekretarzowa szepce.

— Taki ty zbiegnij na dół i zobacz czy ten pan z prowincii obtarł sobie bóty na schodach.

Pan Kolanowicz podsłuchawszy ten rozkaz spogląda niespokojnem okiem na obuwie swoje.

Pani sekretarzowa: Taki czemu się pan nie żeni? czy taki na prowincii trudno o żonę?...

Pan Kolanowicz zaczyna się uśmiechać.

Pani sekretarzowa: To taki ja pana wyswatam w naszym Lwowie; każdy powinien się żenić, kto może; to taki pan przyznaj że mam racię.

Gdy tych słów domawia pani domu, drzwi się otwierają, i wchodzi do pokoju dama wysoka, twarzy cienkiej i białej jakby z papieru wykrojonej, oczka ma niebieskie, koloru i wielkości niezapominajek, loczki jasne.

Jakiego wieku nieznajoma ta dama... niewiem... Poznać w niej lwicę miejską (na oszczędną jednak skalę) poznać to z ruchu, gestów, z uśmiechu i z głosu, kiedy się odezwie, poznać z gustu, i że powiem z tego dowcipu w stroju, który sukienkę i chusteczkę, szaliki i wstążeczki, tak zręcznie ułoży, tak zgrabnie obwinie, obtuli, nadmie i obstroi ciałko niewieście, że ujrzysz tam nawet wdzięki, gdzie ich niebyło i niema.

Spróbójmy opisać detalicznie ubiór nieznajomej damy.

Na główce ma kapeluszyk lila, z gałązeczką na której listki i ponsowe jagódki; z kapelusika szpuszczona szlarka na oczy i na twarz; twarz i oczy utrzymuje w figlarnem półcieniu, z pod kapelusza spada kilka loczków, a w każdym po kilka włosków. Ubrana jest w szlafroczek kitajkowy zręcznie przykrojony,

który nadaje także smukły kształt, gdzie potrzeba zwija się w fałdy, wyokrągla wdzięk gorsu, wydyma się, rozszerza i przyzwoitą wypełnia się cirkumferencią. Szalik lekki i przezroczysty, istna mgła gazowa, mantylka z ramion spadająca, maleńki boa biały, bransoletki, pierścionki na palcach, wenecki nareszcie łańcuszek, zawieszony na szyi, którego koniuszki toną w fałdach gorsu, dodają wdzięku, blasku i elegancii tualecie tej nieznajomej damy.

Nieznajoma po wielu serdecznościach i uściskach, skromnym ukłonie dla pana Kolanowicza, poprawiwszy szalika, spuściwszy z ramion spadającą mantylkę uśmiecha się wdzięcznie i zapinając klamerkę u bransoletki siada, a pierwsze słowo na jej ustach: Hrabina moja kuzynka.

— Wystaw sy (zaczyna mówić odpinając guziczek z perlowej macicy u rękawa). Imaginuj sy z hrabiną moją kuzynką ułożyłyśmy sy wyjechać na spacer, zaraz po obiedzie, byłam dzisiaj u hrabiny na objedzie; już... zajeżdża kareta... w tem... meldują gości; hrabina moja kuzynka trzyma dom otwarty; odłożyłyśmy spacer na piątą, teraz niebędzie jeszcze jak trzy kwadranse na czwartą....

To mówiąc wyciąga mały złoty zegareczek, patrzy, przykłada go do ucha.

— Ach, jak mamę kocham, zapomniałam sy nakręcić, pozwolisz moja droga.

Nieznajoma zaczyna nakręcać zegarek; i kontynuje rozmowę, w której jak ulubione *recitatiwo* powtarza się co chwila słowo, hrabina moja kuzyna.

— *A propos* wspomniałam sy, imajnuj sy hrabina moja kuzyna sprowadziła sobie prosto z Drezna... ale to mówię ci....

Tu nieznajoma przykłada znowu cylinderek do ucha.

— Idzie... *à propos*, wspomniałam sy, nie jesteś samą, możem ci przeszkodziła, nie rób sy subjekcii, jak cię szacuję serdecznie.

— To taki ten pan zjechał z prowincii, (odpowiada gospodyni) prezentuję ci taki pana Kolanowicza bogatego kawalera... z prowincii.

Temi dwoma słowami kawaler i bogaty jak czarodziejską rószczką uderzona nieznajoma, zaczyna być niespokojna, pomieszaną; jej twarz stroi się w wdzięczny uśmiech, jej głos nowego wdzięku, cała jej postać przybiera jakiś blask... nowe życie. Nawzajem pan Kolanowicz po kilku ukłonach przybliża się się i robi znajomość z nieznajomą, która z coraz większą afektacią odpina guziczek u rękawa, przysłuchuje się na przemian panu Kolanowiczowi, to znowu cylinderkowi swojemu, a niekiedy go otwiera i kluczykiem potrąca.

— To pan mieszkasz na prowincii? ja bo, nie chwaląc się, gustuję w prowincii, i wyobrażam sy jak to musi być romansowo, mieć swój własny dom z ogrodem, maleńki swój stoliczek... gospodarstwo.

— W istocie pani dobrodziejko (odpowiada Kolanowicz zawstydzony nieco) ale ja, tak dalece, mieszkam w prawdzie w mieście....

— W mieście? (podchwytuje nieznajoma udając smutną).

— Ale w istocie mogę zapewnić panią dobrodziejkę że miasteczko nasze posiada bardzo wiele przymiotów wiejskich, a przytem ma dogodności i awantaże.

— Wystawiam sy, są sklepy, spacery, kilka domów znajomych.

— W istocie pani dobrodziejko w naszem mieście mieszka pan pocztmistrz z familią, pani Ferlegrowa z córkami, jest także dom pana sendyka; i w istocie możnaby powiedzieć że życie w naszem miesteczku byłoby dosyć rozerwane; tylko że w istocie między temi domami niema jakoś... harmonii....

— Harmonii? podchwytuje nieznajoma.

— Z hrabiną moją kuzyną harmoniujemy od tylu lat, czy zna pan przypadkiem hrabinę moją kuzynę? Hrabina moja kuzyna posiada dobra....

Pan kolanowicz zawstydzony zapytaniem, widzi się być zmuszonym do niemiłego wyznania, że panią hrabinę.. nie zna; atoli zręcznem napomknięciem o państwie Rzeplickich obywatelstwie u których bywa, naprawia opinię o sobie. Nieznajoma kontynuje dyskurs, chociaż jej cylinderek nie piątą ale godzinę szustą już pokazuje.

Pan Kolanowicz śród marzeń i słodkich snów o nieznajomej damie, przespawszy noc już dłuższą bo jesienną, odbiera nazajutrz maleńki bilecik złożony w pierożek a przypieczętowany opłatkiem. Był następujący:

Szanowny panie dobrodzieju!

»Ponieważ dziś jest niedziela, to jeżeli pan niema »zamówienia na dziś to proszę pana na łyżkę rosołu »do siebie, w obiadowej godzinie; proszę taki bez ża»dnej sabjekcii do mnie, bo to objadek całkiem fami»liarny.«

Zostająca sługa: *Petronella Guhowska.*

(Przypis do biletu)

»Muszę panu donieść komplement; że się pan bar»dzo spodobał pewnej osobie; jeżeli nie będzie mia»ła zaprosin do hrabiny, swojej kuzyny, albo gdzie»indziej, ta osoba taki mi się obiecała na objad.«

Po odczytaniu biletu twarz pana Kolanowicza nabiera dziwnej wesołości. Przechodząc się po stancii zatrzymuje się przed zwierciadłem, poprawia kołnierzyka i czubka, uśmiecha się, a wspomniawszy sobie nareszcie że wysłana z biletem kucharka czeka, wybiera ćwiarteczkę na której miasto Lipsk wysztychowane w landszafcie; zasiada, myśli długo i pisze w końcu. Anastazia już odebrała odpowiedź i odeszła, pan Kolanowicz w samotności oddaje się cały słodkiemu zadumaniu o nieznajomej damie.

— Niema co mówić (do siebie mówi).

— Osoba cale przyzwoita, to widać: maniery ma a przytem, takie to zaszczytne kuzynostwo, a przytem....

Tu pan Kolanowicz staje znowu naprzeciw źwierciadła, poprawia włosy, uśmiecha się.

Atoli naraz twarz jego powleka się smutkiem, zamyślony głęboko medytuje, rozważa.

Przyszła mu na myśl jego trzechletnia konkurencia o pannę Izabellę, to przypomnienie zaprawia goryczą jego radość, czuje jakby ciężki jakiś kamień staczający się na sumienie.... O boże!... Po długiej medytacii sięga do pularesu, wyciąga bilet, i odczytuje go po dwunasty raz. Był taki.

»Piszę do pana *anonime* bobym nie ośmieliła się »nigdy pisać do kawalera, a życzeniem jest mojem aże»by pana zawiadomić: że mój tato nie da sobie nawet »wspomnieć o panu; moja mama jak panu musi być »wiadomo, wypowiedziała panu dom; mój stryjaszek »zabronił się widywać z panem, moja ciotka gniewa »się na pana; a ja panu odsyłam piórko i pierścio»nek własnej pańskiej roboty, na bilecie się niepodpi»suję dla tego ażeby był *anonime.*«

Sługa pańska.

Odczytanie tego biletu ulżyło nieco ciężaru na sumieniu pana Kolanowicza, i już swobodniej, już śmielej, już stalej myśli o nieznajomej damie. A skoro na zegarze wybiły dwa kwadranse na pierwszą, pan Kolanowicz, pospiesza na objad, uposażywszy się po drodze u cukiernika półfuntem karmelków. Wchodząc do pani sekretarzowej pokoju, zastaje nieznajomą damę samą przy fortepianie. Wejściem pana Kolanowicza walec pana Straussa przerwany zostaje.

Dnia następnego oglądasz pana Kolanowicza w ogrodzie tureckie okopy zwanym, fetuje panią sekretarzowę i nieznajomą damę ruskiemi pierogami.

We wtorek, już w towarzystwie z samą damą nieznajomą płynie po stawie w Kisielce łódeczką. Przy nachyleniu się łódki, rączka nieznajomej chwyta się ręki pana Kolanowicza, następuje uniesienie, bojaźń zatonienia daje do tego niewinny powód. Ale pan Kolanowicz szczęśliwy; rączym krokiem zbliża się do upragnionego celu.

Utrzymuje Francuz że *l'analise coupe la gorge à la poesie,* więc nie analizując zatem uczucia, nadzieje i marzenia zakochanego, powiemy krótko, że w przeciągu sześciu tygodni pan Kolanowicz z bukietem u fraka prowadził nieznajomą damę do ołtarza, gdzie między innemi posłyszał przyrzeczenie nieznajomej; a iż cię nieopuszczę aż do śmierci.

W miesiąc potym akcie solennym odbytym we Lwowie, już po powrocie do miasteczka, państwo młodzi Kolanowicze pewnego wieczora (był piękny wieczór) wyszedłszy z swojej kamienicy na miasto, prowadząc się za ręce, szli gościńcem.

Naraz posłyszeli turkot pojazdu, byłto szybkowóz który chmurą kurzu obwinięty po gładkiej toczący się drodze szybko do nich się zbliżał.

Stanęli, alić ledwie co nadjechał szybkowóz, otwartem tegoż oknem wyglądająca głowa wydała okrzyk. W jednej chwili drzwiczki pojazdu zostały odemknięte, a z pojazdu wyskoczył mężczyzna w wieku studenta gimnazialnego, wyskoczył i rzucił się w objęcia pani Kolanowiczowej, która z widoczną radością na twarzy zaczęła się z nim witać, ściskać go i całować. Pan Kolanowicz obecny tej rozczulającej scenie zadziwił się mocno.

— Oh! prawda (ozwała się żona) ty nieznasz jeszcze mego Ignasia, jak go poznasz pokochasz go, on taki dobry, taki ładny nieprawdaż, jak urósł....

— Ale... zaczął się jąkać zakłopotany nieco mąż....

— Ach prawda, ty niewiesz jeszcze (dodała żona spuszczając oczy) to mój syn....

— Jakto? co mówisz? niewiedziałem?...

— Niewiedziałeś o tem, że byłam wdową kiedyśmy się pobrali?...

— Byłaś wdową? powtórzył pan Kolanowicz z pewnym akcentem, który oddać, ani wytłómaczyć miara nie podoła.

Adam Gorczyński.

Z numerem niniejszym kończy się prenumerata na pierwsze półrocze dziennika, o czem uwiadamia się szanownych prenumeratorów, aby ci którzy życzą sobie trzymać na dal ten dziennik, wcześnie zamówić go na drugie półrocze, w redakcii lub w urzędach pocztowych, raczyli.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.